

Chichot historii

10 września 2017

Nad Polską rozbrzmiewa i wzmaga się spazmatyczny, konwulsyjny Chichot Historii. Najdonośniej podczas Wielkich Rocznic i jubileuszy oraz wtedy, gdy ten czy ów ogłasza a to „koniec historii” (bo już dobiegła do mety), a to historyczny przełom, to znów całkowitą odmianę i zupełną nowość, jakiej jeszcze świat nie widział.

Wprawdzie nie jest aż tak, że „wszystko już było”, że nic innego i nowego już się nie wydarzy. Ale jest różnica między Historią jako Dziejami, jako tym, co się wydarzyło, ale i nadal trwa lub powraca, a zmiennym ludzkim oglądem i obrazem historii (historia jako wiedza o przeszłości, częściej nawet jako legenda, mit niż kolekcja faktów). Niechętnie ją przyjmują do wiadomości ci historycy, którzy chcieliby siebie uwiecznić na równi z tym, o czym i jak piszą.

Niezrozumienie tej różnicy jest komiczne, aczkolwiek w skutkach praktycznych żałosne. Choć żyjemy dziś w epoce nieuniknionego już pluralizmu źródeł wiedzy i informacji oraz form ekspresji poglądów, to na naszych oczach rozkwita wzorzec Władców Historii – we własnym mniemaniu dziejowych Demiurgów, choć mogą oni co najwyżej próbować monopolu narracji historycznej.

CO JEST ŚMIESZNE W HISTORII

Chichot Historii to jej reakcja na takie oto sytuacje:

- gdy to, co trwa i żyje (choćby podskórnie lub w przystosowawczym przebraniu) uznawane jest za przewycięzione i martwe;
- gdy to, co przejściowe, uznawane jest za wieczne;
- gdy to, co zmienne, uznawane jest za niezmiennie;

- gdy to, co dopiero powstaje, a nie wiadomo, czy przetrwa i jak się przeobrazí, uchodzi za zakończone i ostateczne;
- gdy to, co ma być nowe i nowoczesne, pachnie starością, nawet stęchlizną, a cały efekt nowości, innowacji polega na liftingu;
- gdy bankrut historyczny powraca „na białym koniu” i patronuje wielkiej modernizacji;
- gdy następcy nienawidzący swych poprzedników małpują ich i podążają właśnie ich drogą, a ich negacja poprzedniej epoki okazuje się jej nowym wcieleniem;
- gdy ktoś nieporadnie stroi się w cudze piórka, zwłaszcza wykradzione z muzeum, z łamusa historii, jak z teatralnej rupieciarni-rekwizytorni;
- gdy porównuje się nieporównywalne (inne czasy, inne miejsce, inne okoliczności, inny kaliber spraw lub ludzi);
- gdy patetyczny i demoniczny wizerunek ośmiesza jeden głupi szczegół (przykład współczesny: dyktator na stołeczku i w patriotycznej pelerynce);
- wreszcie, gdy „historia zatacza koło”, to znaczy wtedy, gdy przebieg wypadków i nawet długotrwałych procesów, przekształceń prowadzi z powrotem do... punktu wyjścia.

POLSKIE PANOPTICUM HISTORYCZNE

Historia – ta, która się wydarzyła, nie ta pisana palcem po wodzie – ma niezły ubaw, gdy przygląda się polskiemu „kultowi historii” opartemu na ignorancji i mitologii, na ślepotcie wobec faktów ewidentnych i niezaprzeczalnych, na karkołomnych reinterpretacjach faktów i źródeł. W szczególności, gdy ogląda „historyczne” (a w istocie ahistoryczne, bo prezentystyczne) rekonstrukcje będące infantylnym teatrykiem i zaprzeczeniem rekonstrukcji złożonych wydarzeń, a karykaturą procesów dziejowych. Prezentyzm – tzn. pisanie historii pod dyktando

dzisiejszych wyobrażeń i nastawień, odpowiednio do aktualnych koniunktur ideologiczno-politycznych – to osobliwe odwracanie porządku dziejów, jak w filmach przewijanie klitek wstecz, ale z poprawkami, by wszystko się zgadzało z zakończeniem już ustalonym.

Historia przeciera oczy ze zdumienia, gdy czyta „Potop” Sienkiewicza i zgodne z nim podręczniki szkolne, a w nich legendę o obronie Częstochowy, bo przecież wie i pamięta, jak to było z pierwszym powitaniem Karola Gustawa. Zanoszą się śmiechem jak szloch, gdy słyszy, jak dekonownicy, poputczycy i bojownicy spóźnieni o lat dwadzieścia lustrują i dekomunizują Wałęsę oraz legion internowanych. I gdy ludzie „Solidarności” – dawniej „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego” – świętują dziś urodziny Ruchu w takim stylu, że naśladują spór spadkobierców po spóźnionym pogrzebie, którzy wyrwają sobie „dziedzictwo”, i to z taką zawziętością, że rwą je na kawałki, byle odmówić drugiemu. I krztusi się ze śmiechu, gdy lud boży (roboczy i związkowy) pod hasłem „precz z komuną” upomina się o „socjal”, który sam zwycięsko przekreślił wraz z PRLe, a prezes-naczelnik Kaczyński porównywany jest z Gomułką. Usiłuje zachować powagę, gdy patrzy, jak kombatancki-weterani „Solidarności” w rocznicę Sierpnia świętują swoje zwycięstwo składając wieńce przy pomnikach i tablicach pamiątkowych (jakie „ubogaciły” ich zamiast zakładów pracy, które przestały istnieć), przez to nieświadomie naśladując układanie wieńców i zniczy na nagrobkach.

POLAK HISTORYK

Polacy są narodem – z niezbyt licznymi wyjątkami – przygłuchym. Szwankuje nam nie tylko słuch muzyczny. A należymy do najmniej muzykalnych narodów Europy, w odróżnieniu od najbliższych sąsiadów, nie mówiąc już o Włochach, Francuzach, Latynosach, mieszkańcach Afryki. Głusi jesteśmy również na pomruki dziejów, echa przeszłości i czkawkę historii. W każdym razie reagujemy na nie dopiero wtedy, gdy teraźniejszość tak się utrwała w naśladowaniu, parodiowaniu i

wykoślawieniu przeszłości, że sama staje się już przeszłością, choć my za tym nie nadążamy.

Z pozoru przeczy temu chorobliwa wręcz, bo nie refleksyjna, lecz emocjonalna i obsesyjna fascynacja historycznymi stereotypami, kliszami i mitami, rekwizytami i gadżetami – jak te prawdziwe relikwie partyzanckie lub ich podróbki kupowane na bazarze. I tak szokujące dla cudzoziemców zwrócenie w przeszłość, a nie w przyszłość lub sięganie w sporach o przyszłość do budujących obrazków z przeszłości, a częściej raczej tylko do obrzędów. Można się też nabrać na epidemiczną modę na „grupy rekonstrukcyjne” – zabawy w turnieje rycerskie, bitwy i powstania, choć jeszcze nie w gwałty zbiorowe, pogromy czy spalenie na stosie. A to przecież też historia, i to ojczyzna.

Ale to tylko zasłona dymna. Im mniej Polak wie i rozumie z historii, im mniej ma za sobą przemyśleń, tym bardziej obnosi się z historią, np. naklejką na samochodzie (kotwica Polski Walczącej; napis „Pamiętamy”). Dla „prawdziwego Polaka” historia nie jest żadnym narzędziem myślenia, sprawdzenia rzeczywistego charakteru aktualnych wydarzeń i opowieści, lecz służy za zapchajdziurę lub wielokrotnie odgrzewane kotlety.

O, przepraszam, są wyjątki. Np. żarliwy kibic futbolu wie wszystko o historii swego klubu i reprezentacji narodowej, o wynikach różnych meczów i turniejów, z kompetencją eksperta skomentuje nam ewolucję taktyki drużyny i sposobu działania kolejnych trenerów, porówna atmosferę i style futbolu z kilku epok. Ale jakoś nie przeniesie tych umiejętności i nawyków na swoją rolę obywatela, wyborcy.

FIGLE HISTORII

Historia z natury jest przewrotna. Stale płata figle, nieźle bawi się antynomią, absurdem, nonsensem lub paradoksem.

Wielkie i zasadnicze zmiany bywają uruchomione kompletnym przypadkiem i nieporozumieniem albo czyjąś partaniną. Wielkich

czynów dokonują nieraz ludzie nieciekawi i mierni, z banalną, nawet prymitywną umysłowością i z trywialną motywacją, ale w czytankach dla dzieci i dorosłych przypisuje im się dalekowzroczność, subtelne idee i wzniosłe cele. Przełomowe przemiany społeczne firmują figuranci, którzy nawet nie rozumieją ich sensu. Za sprawców lub inicjatorów pożytecznych zmian, wynalazków, ulepszeń czy odkryć uchodzą ci, którzy w nich przeszkadzali.

Bojownicy o wolność przeistaczają się w zamordystów, dyktatorów. Postępowi ideolodzy i politycy prowadzą politykę, której skutkiem jest zacofanie. Zwycięstwa w wojnie okazują się klęską i początkiem upadku. A pokonani w wojnie okazują się zwycięzcami, największymi beneficjentami pokoju (vide: Niemcy, Japonia), odwrotnie niż niektórzy zwycięzcy (vide: ZSRR). „Sprawiedliwość dziejowa” znaczone jest skalą krzywd, która przebija wcześniejszą, a „naprawianą”.

Włoch z korsykańskiego zadupia staje się najwybitniejszym z Francuzów. Postkolonialne migracje – jako rachunek za kolonializm – sprawiają, że teraz to potomkowie podbitych niegdyś ludów „podbijają” i „zawłaszczają” europejskie metropolie. Najważniejsze relikwie serbskości, węgierskości, a częściowo i polskości pozostają dziś za granicą. Autorytarny kościół katolicki – obciążony inkwizycją, stosami, cenzurą, pańszczyzną i zwalczaniem ruchu ludowego – funkcjonuje w Polsce jako promotor wolności. Nadwiślański rasista i antysemita czci Maryję-Żydówkę i adoruje jej czarnoskóry wizerunek, w dodatku – na pohybel tym Żydom, kebabom i asfalom, święcąc na Jasnej Górze swoją bejsbolówkę. Radio Maryja zwalcza Unie Europejską za pieniądze... Unii Europejskiej.

Gdy racjonalista szuka „Sensu Historii”, to igra z nim ona jak kokietka, która zwodzi, a wystawia do wiatru.

NAUKI Z HISTORII

Popularnym złudzeniem i pobożnym życzeniem jest starożytna maksyma „historia nauczycielką życia”.

Przekornie spuentował ją Hegel, gdy stwierdził: „historia narodów uczy, że narody niczego nie nauczyły się z historii”. Przy całej retorycznej przesadzie tego stwierdzenia nie sposób nie zauważyć, że po wiekach, a nawet tylko po niewielu latach ożywają rozmaite upiory, zabobony i anachronizmy – np. idee i dążenia dawno już, wydawałoby się, skompromitowane i skazane już tylko na miejsce w niechlubnym katalogu przeżytków oraz wynaturzeń. Nie zaniknęły bezsensowne i niemożliwe do wygrania wojny. Po Holokauście i w ogóle ludobójstwie znów atrakcyjny okazuje się dla wielu ludzi antysemityzm, rasizm i militarizm, po ekscesach SA i Ku-Klux-Klanu bojówkarski wzorzec dyskusji politycznych. Ba, jak się okazuje, nazizm (i jego ideologia, i jego symbolika) może być popularny w pewnych środowiskach nawet... w Rosji, umęczonej i opromienionej zwycięską Wojną Ojczyźnianą z faszyzmem. A w Polsce obowiązującą lekcją z Powstania Warszawskiego jest nie nauka racjonalizmu, realizmu i odpowiedzialności, lecz autorytarno-straceńczy kult ofiary, męczeństwa i „moralnego zwycięstwa”, imperatyw gotowości do następnej hekatombi. Tego wszak naucza się w Dobrozmianowej szkole i propagandzie.

Do tej samej naiwnej maksymy odniósł się swego czasu Józef Szujski – w znanej rozprawie „O fałszywej historii jako mistrzyni fałszywej polityki”. Pozostawał jednak optymistą, bo wierzył, że możliwe jest rozumne, zobiektywizowane i krytyczne, nie apologetyczne i mitologiczne uprawianie historii.

NAWROTY I POWTÓRKI Z HISTORII

Historia – Pani Dziejowość – ma tę przypadłość, że powraca (wyrzucona przez drzwi wślizguje się przez okno) i nawet nie raz powtarza się. I czyni to na przekór gułom, zaklęciom i egzorcyzmom ideologów i propagandystów, drwiąc sobie z zawziętości i uporu Inżynierów Dusz, patronów i gorliwych

ochotniczych wykonawców „polityki historycznej”, z metodycznych i pedantycznych wysiłków funkcjonariuszy „policji/inkwizycji historycznej”. Lepiej to może rozumieją archeolodzy, którzy wygrzebują spod ziemi i przywracają pamięci społecznej to, co zdaje się już nie tylko zapomniane, ale i niebyłe, skoro nie jest widoczne, a przykryte czymś innym na wierzchu.

Nie należy jednak rozumieć tego zbyt dosłownie.

Nic nie powraca dosłownie, w tej samej postaci – wszak „nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki”. Nawroty minionych zjawisk (w tym, zdawałoby się, zdezaktualizowanych tendencji, przebrzmiałych idei) przybierają nieraz kształt mutacji albo – jak w muzyce – „wariacji na temat”. Powtórki z historii nie są takie jak w radiu „powtórka z rozrywki”, jak w kinie „Powrót mumii” czy „Zombi – reaktywacja”. I choć nieraz reagujemy czujnie i alergicznie na „recydywę” rozmaitych przeżytków i odpadów historii, to przy tym zwykle zapominamy, że wszelkie analogie, zwłaszcza historyczne, są ograniczone, a potraktowane bez dystansu nawet mylące, fałszywe.

Niejednokrotnie te powroty i powtórki tym się odznaczają, że coś innego lub ktoś już inny udaje „to samo”, „tego samego” lub uchodzi jeśli nie za restart, to za kopię. To złudzenie.

Rację miał Marks, gdy w nieśmiertelnym dziele „Osiemnasty brumaire’a Ludwika Bonaparte” sformułował trzy prawidłowości.

Po pierwsze, że zagubienie i bezradność twórców nowego porządku w ich poszukiwaniach (często na oślep, w trybie improwizacji, prób i błędów lub bezrefleksyjnego podążania za przebiegiem wydarzeń, odruchowego reagowania na zbieg okoliczności) kompensowane jest przebieranką w kostiumy historyczne, podpieraniem się taką czy inną, choćby już przebrzmiałą i nieprzystającą do hołdowników, tradycją. Ale nie jest to przywracaniem do życia tego, co było, lecz doraźnym użytkiem z przeszłości, nierzadko nadużyciem.

Po drugie, że jeśli pierwsze wcielenie jakiejś zmiany historycznej jest zwykle dramatem, tragedią, to późniejsze nawiązanie do niej już raczej farsą, groteską. W tym sensie Hitler jest postacią straszną, lecz Hitlerek już tylko niesmaczną i odrażającą, ale na pograniczu śmieszności; a Napoleonek lub neo-Savonarola potrawką nieświeżą. Zaś rekonstrukcja Bitwy Warszawskiej (bolszewika goń, goń) i Powstania Warszawskiego „fajną” zabawą na cmentarzu.

Po trzecie, że „tradycja jak zmora ciąży nad umysłami żyjących” – co oznacza, że przewyciężanie przeszłości bynajmniej nie jest takie proste, bywa połowiczne i pozorne, że ogromna jest siła inercji i paradoksalnej reprodukcji „przeżytych kształtów”, że ci, którzy radykalnie negują przeszłość potwierdzają nierzadko żywotność odwiecznych tradycji swego społeczeństwa, kręgu cywilizacyjnego. Do tego odnosi się koncepcja podłoża historyczno-kulturowego u samego Marksa, u Ludwika Krzywickiego i Kazimierza Kelles-Krauza.

Z tego punktu widzenia nie dziwi np., że represywność rządów bolszewickich i podtrzymała, i przelicytowała ucisk caratu ani to, że polscy kapłani i politycy o plebejskich, chłopskich korzeniach kultywują „wielkopaństwo”, a wzorcem i instrukcją patriotyzmu pozostają – w odstępie niemal stuletnim – skoczny mazur „Poszli nasi w bój bez broni” oraz dziarska piosenka „Ana tygrysy mają visy”.

Powtarzalność pewnych zjawisk w dziejach (a może raczej schematów ich opisu i wyjaśniania?) wielokrotnie skłaniała myślicieli do koncepcji kołowrotu historii, cykliczności dziejów. Ale to przesadne wnioski z nawrotów tylko częściowo podobnych. Natomiast uzasadniona okazuje się rewizja liniowych czy schodkowych wizji postępu społecznego. Społeczeństwa nie wznoszą się w swych dziejach po prostu na kolejne coraz wyższe poziomy, bo zdarzają się i okresy regresu, i „ślepe uliczki”, i dziurawe imitacje.

„Władcy Historii” – upojeni swą władzą polityczną, zwłaszcza

autorytarną lub totalitarną – na serio mniemają, iż są władni wedle swego uznania po prostu coś uwiecznić, a coś innego unieważnić, przekreślić, uczynić niebyłym, ba, w ogóle nigdy nie istniejącym. Kierują się tu atawizmem „moje na wierzchu” – jak w świecie zwierzęcym ten, kto nasika ostatni i w ten sposób zawłaszczony oznaczony teren.

WYMOWNA HISTORIA ZNANEGO PLACU

Rozważmy teraz poglądowy przykład chichotu Historii nad pychą tych, którzy miniony rozdział historii uznawali za zamknięty (przez ich etap aktualny, a w założeniu wieczysty) – mocą własnej woli.

Jest taki plac w centrum stolicy, z symbolicznym Grobem Nieznanego Żołnierza. Tradycyjnie pozostaje miejscem rytualnych zmian warty i wielkich uroczystości państwowych. Uroczystości stale celebrowanych w kolejnych reżymach politycznych, choć z intencją i wymową po każdej zmianie przeciwną. Ot, taka ciągłość funkcji w zmiennych treściach. Plac upamiętniony „nawiedzeniem” przez Jana Pawła II i jego homilią, która odmieniła „tę ziemię”.

Najpierw – w latach 1814-1928 nosił nazwę Placu Saskiego (w jakimś związku z Pałacem i Ogrodem Saskim).

Następnie (od 1928, z drobnym opóźnieniem po przewrocie majowym) był to Plac Marszałka Józefa Piłsudskiego – jeszcze żyjącego, ale od dawna już w Panteonie, a teraz znów przy władzy, i to pełnej.

W Generalnym Gubernatorstwie zarządzeniem okupantów przemianowany na Sachsenplatz. Było to w pewnym sensie przywrócenie historycznej, pierwotnej nazwy, ale z intencją bynajmniej nie bezinteresowną, bo z podkreśleniem „niemieckości” tego miejsca. Ale ta nazwa utrzymała się krótko, bo wyraźny triumf i uwznioślający triumf Tysiącletniej Rzeszy zobowiązywał do symboliczno-rytualnego awansu. Od maja 1940 do stycznia 1945 (kiedy to święte miejsce odbili

„sowieccy okupanci”) plac nosił dumną nazwę Adolf Hitler Platz.

Od czasu wyzwolenia-zniewolenia Warszawy, w PRL, z woli komunistów nazywał się Placem Zwycięstwa (w domyśle: w II wojnie, nad III Rzeszą). Trudno zgadnąć (choć może wie to jakiś historyk), jakim cudem plac uniknął kultowej w powojennym dziesięcioleciu nazwy Plac Stalina, co byłoby zresztą nawiązaniem do stałej reguły konkursowej – wybór Najwyższego Patrona.

Ale jeszcze późniejsi zwycięzcy – pogromcy „komuny” nie trawili jakichkolwiek reliktyw PRL. Być może uznali, że nazwa „Plac Zwycięstwa” odnosiła się do przekreślonego już zwycięstwa komunistów, a Zwycięstwo w wojnie – cóż to za zwycięstwo? Zwycięstwo Ruskich nad Niemcami, z Warszawą w strefie radzieckiej. Zobowiązująco też traktowali swoje hasło „powrotu do normalności”. Toteż przywrócili mu miano: Plac Marszałka Józefa Piłsudskiego. Za czym kryje się intrygujące założenie, że Piłsudski i II RP, a zwłaszcza Sanacja (z procesem brzeskim i Berezą Kartuską, z pacyfikacją strajków chłopskich i wyciskiem dla Ukraińców na Kresach) to synonim „normalności” i świetny patronat dla demokracji.

Ze względu na misterium z 1979 roku plac powinien zapewne nosić nazwę Jana Pawła II. Ale Papieża Polaka zutylizowano już w pilnej i gorliwej dekomunizacji ulicy Juliana Marchlewskiego (przez jakiś czas nazywanej przekornie przez lud ulicą „Jana Pawła Marchlewskiego”). Zatyczka dużego kalibru, ale z dzisiejszej perspektywy to jakby strzał z armaty do wróbla, a zarazem mimowolna degradacja najgodniejszego patrona, bo – z całym szacunkiem dla tej ulicy, w dodatku z trefnym PRL-owskim rodowodem – to ten plac jest predestynowany do rangi piedestału.

Można się założyć, że to jeszcze nie ostatnie przechrzczenie tego placu. Wciąż jeszcze zasługuje on na przelicytowanie porównywalną kartą personalną.

Pewnie to tylko kwestia czasu, aż po wygranych wyborach w Warszawie – albo po komisarycznym unieważnieniu wyniku tych wyborów – Dobrozmianowa Władza Bezterminowa awansuje tę przestrzeń do miana Placu Lecha Kaczyńskiego. I przybije nową tabliczkę gwoździem w postaci stosownego monumentu.

Ponieważ jednak nic nie trwa wiecznie, prawdopodobny jest moment, gdy ten pomnik nie zostanie może rozłupany jak pomnik Dzierżyńskiego, ale pod osłoną nocy przewieziony w inne znane lub nieznane miejsce, a plac otrzyma nową nazwę, tym razem słuszną i w intencjach „ostateczną”.

Można też przypuścić, że gdyby w Polsce dokonała się zmiana doprawdy niewyobrażalna w postaci powszechnego, jak i odgórnego odwrotu od panującej dziś religii, to plac nosiłby nazwę Placu Dechrystianizacji.

Takie to są przypadłości miejsc, które trwają same w sobie, opatrywane jednak coraz to innym znakiem. Ten konkretny plac – Saski / Piłsudskiego/ Zwycięstwa / znów Piłsudskiego jest doskonałą ilustracją i sprawdzianem tego, ile warte są przeświadczenia „demiurgów historii” i oficerów „policji historycznej” o wieczystości ich rozstrzygnięć i przesądzeń, o ich zdolności zakończenia historii na tym, że „nasze pozostaje na wierzchu” i „na wieki wieków”. Każdy, kto przemianował plac na swoją modłę, jeśli nie świadomie, to podświadomie żywił przekonanie, iż jego dekret kieruje do lamusa porządek poprzedni sygnowany niewłaściwą, nieaktualną czy skompromitowaną nazwą, że ustanawia stan (faktyczny, prawny i symboliczny) o charakterze ostatecznym. I nie mieściło mu się w głowie, że będą jacyś następni i że ta święta nazwa zostanie tak sprofanowana. Morał z tej historii: Nic nie jest wieczne, wieczne są co najwyżej ideologiczne złudzenia i aberracje kolejnych „betoniarzy historii”.

SYZYFOWA PRACA

Poprawianie historii to trud równie jałowy, daremny jak

groteskowy. Jest tak sensowne i skuteczne jak zawracanie kijem Wisły, jak stawianie tamy z patyczków w potoku górskim albo srogi gniew Kserksesa, który kazał skuć łańcuchami i wychłostać nieposłuszne mu morze.

Wszystkich grobów nie wykopiecie, nie zaoracie, nie wywieziecie na śmietnik. Wszystkich fresków czy mozaik nie zamałujecie; a choćby nawet, to po latach, nawet stuleciach, i tak ktoś je odsłoni i uczyni przedmiotem podziwu. Wszystkich książek nie zdołacie spalić ani wysłać na przemiał, bo i tak niejedna się uchowa (w niejednym domu w piwnicy, na strychu albo w zbiorach zagranicznych), lub też jej ślad i echo przetrwa w innych zachowanych książkach. Wszystkich dyplomów z orłem bez korony i z nieprawomyślną nazwą uczelni ani tych z wyklętym nazwiskiem promotora czy rektora nie unieważnicie, bo musielibyście zatrzymać – nie wiadomo na jak długo – całą maszynę społeczeństwa, gospodarki i państwa. Wszystkich naraz skażonych kadr nie wymienicie, a zanim wykonacie to zadanie, już ich zmiennicy i następcy będą do wymiany.

Wszystkim mordy nie zamkniecie – w każdym razie nie w osobistych wspomnieniach i przemyśleniach, nie w domu w rozmowie z dziećmi czy przyjaciółmi. Z dowcipami politycznymi i memami nie wygracie, choćby policjantów i prokuratorów było tyle samo lub więcej co bluźnierców.

Wszystkich umysłów nie zatrujecie swoją indoktrynacją i propagandą, a i z tej otumanionej większości i tak większość po kolei się wyłamie – bo uczeń zaliczy obowiązujące formułki i rytuały na piątkę lub na trójkę, ale niewiele z tego zapamięta na przyszłość, a w przyszłości równie łatwo przyswoi całkiem inne opowieści, legendy, mity lub nadstawi ucha przy sprostowaniach, odkłamaniach, jeśli dla niego będą sensacją. A ten, któremu „wisi”, jak to było i co jest prawdą historyczną, i tak skupi się na przyszłości, nie na niegdysiejszych śniegach. Legiony wyznawców „prawdziwej historii” są liczne, tłumne w szkołach, potem jakoś dziwnie się przerzedzają. I to się powtarza w kolejnych generacjach i reżymach politycznych.

Mauzolea i inne pomniki wieczystej chwały i kultu tudzież pychy po latach, dziesięcioleciach i stuleciach stają się już tylko przybytkiem osobliwości, a nie świątynią ślepej wiary. Wiatry historii działają szybciej niż te w naturze – tu wietrzenie „skał” zajmuje nie miliony lat, ale tylko dekady.

To, co chcielibyście uczynić niebyłym, uparcie powraca (choć nieraz w zniekształconej i okaleczonej postaci) i was czyni byłymi. Dość trafne, mimo całego uproszczenia, okazuje się potoczne porzekadło „oliwa na wierzch wypływa”. Spod zaprawki na odpicowanym starym rzęchu i tak wyłazi rdza.

Osobnikom z manią wielkości i sektom z obsesją dziejowego posłannictwa trzeba przypomnieć, iż „przejsie do historii” równie dobrze może znaczyć upamiętnienie, zamieszkanie w Panteonie, jak odejsie w niepamięć. Historyczne znaczy nie tyle wiekopomne lub przełomowe, ile właściwe tylko swoim czasom i przemijające. A jeśli chodzi o tych, o których pamięć nie zaginie, to „przejsie do historii” równie dobrze oznacza podziw i wdzięczność kolejnych pokoleń jak infamię lub zwykły niesmak – podobny temu po małżeństwie, które okazało się zbyt długo trwającą pomyłką.

Powiada Orwell, że to zwycięzcy piszą historię. To prawda. I piszą ją sobie jak im się podoba – aż do własnej klęski, kolejnej w historii. Gdy upajają się swoją władzą – jakoby niepodzielną i nieodwracalną – nad przeszłością, to nie panują już nad własną przyszłością. Zegar tyka.

Autorstwo: Mirosław Karwat

Źródło: Strajk.eu

OD AUTORA

Artykuł dedykowany pamięci Jerzego Topolskiego.